

PAŃSTWO JABŁKOWI

Józefinka uchodziła za dziewczeczkę niemalże jałową. Już za tych wczesnych lat dziecięcych jawiła się nudą, przykrością taką jakoby jeszcze w łonie matki niejako wypłowiła. Nie przejawiała żadnych zainteresowań — ni to malowała, ni to śpiewała czy dziergała. Błąkała się ino z kąta w kąt, włóczyła się po wiosce jak ta sierota i doglądała wsi; długich, siarczystych pól, co wiatr nimi targał, aż pokładały się ku ziemi. Sunęła dłońmi po niedojrzałych kłosach, niekiedy rwąc je i skubiąc. Chadzała po ciemnych, bujnych lasach, wciskała się między kłujące chaszcze, obchodziła drzewa dookoła i raz po raz spoglądała ku górze jakby się czego doszukiwała w koronach drzew.

Była wysoka a szczupła niby sztaluga. Twarzyczkę i włosy miała blade, dłonie wiecznie przemarznięte, a usta nieruchome — odzywała się z rzadka, a śmiać nie śmiała się w ogóle. Byli tacy, co ją próbowali rozbawić, ale zbywała ich wzruszeniem ramion i wracała do gonienia po swojskich polach. Raz w raz kręciła się wśród pól pszenicy jak pozytywka, wzruszając falbaną zwykle ciemnej sukni.

Liczyła sobie osiemnaście wiosen i pochodziła z chłopskiej rodziny. Za matkę miała Wierę, za ojca Grzegorza i trzech starszych braci. Nigdy nie czuła się pojednana z rodziną, ona jak ta czarna owca, niejaki wyrzutek, a dla ojca popychadło. Bracia — że byli od niej dużo starsi — jakby o niej zapomnieli, mając już własne żony, a dwójka z nich dzieci.

W rodzinnym domu nie miała głosu. Kto by pomyślał, żeby Józefinkę o zdanie pytać, no kto! Gdy nakazywano jej gotować, gotowała, gdy nakazywano jej o świecie oporządzać konie, oporządzała. Matka posyłała ją z jadłem do sąsiadów i prosiła wręcz, by się Józefinka choćby uśmiechnęła podając koszt, ale ona nie słuchała.

Wieś o niej gadała — pomyłona, opętana mówili, bo i nikt nigdy nie widział, jak się cieszy. Pojęcia o niej nie mieli, a pletli, byleby ino pleść jak ten Piekarski na mękach! Wieśniacy nie wiedzieli o niczym! Zwracano na nią uwagę tylko, gdy była już oszalała, a pomóc, gdy ją ojciec kijem lał, że ryczała jak to zarzynane bydle, nie było komu! Ślepcy! — ot, wiejska moralność!

Józefinka zwykła wieczorami marzyć o śmierci, ale nie markotnie, nie przykro, a z niejakim utęsknieniem. Myślała, jak to dobędzie pewnego dnia spokoju, wiecznej ciszy i utopii. Tęskno jej było za śmiercią jakoby niegdyś już jej doświadczyła. Wierzyła, że pochodzi stamtąd, gdzie przebywają zmarli. Dziwna była doprawdy, ale czy to oznaczało, że

można było robić z niej pośmiewisko? Była urodna, nigdy nie przysporzyła nikomu kłopotów ani nie skrzywdziła. Czy więc jej głodna śmierci głowa była wystarczająca, aby traktować ją na równi z pasącym się nieopodal chaty bydłem?

Na samym skraju wioski, tam pod tym spowitym mrokiem i strachem lasem, mieszkał mężczyzna, co na niego wołali Pan Jabłkowy. Prowadził długi, szeroki i płodny sad. Gospodarz był z niego porządny i pocciwy, wielce w wiosce szanowany. Lat miał około trzydziestu, posturę tęgą, twarz jeszcze młodą i oczy takie, co przyciągały kobiety nawet te zamężne. Jabłkowy nie miał żony ani dzieci, a to dziwo! Uganiały się za nim stare i młode, te z gębą jak koń i te najpiękniejsze. Mówił, że na ślub przyjdzie czas, że jest młody i sprawny, a to całe życie przed nim! Co on będzie miłość forsować! Spotka taką, co skradnie mu serce, to i wtedy się ożeni!

Wtem Pan Jabłkowy dowiedział się, że jest śmiertelnie chory. Nie pozostało mu więcej niż pięć lat skropionego bólem życia. Nagle wszystko jakoś tak ucichło. Psy jazgotać przestały, wiatr stanął w miejscu, młode jabłonie jak pięły się ku górze, tak już więcej nie rosły. Wioska zamarła, wioska zmarła. Na świecie niby panowało lato, a wraz chłód objął ich jak w zimie. Chadzał z wolna między jego jabłonkami, tykał je opuszkami palców, gadał do nich coś niecoś i życie tak przeleciało mu przed oczami, że wraz legł na ziemię i począł beczeć. Aż się ptaki poderwały z płotu i wyfrunęły hen daleko w to przykre niebo. Miał umrzeć? Tak zwyczajnie, tak jak te ubijane na rosół kury, co równie jak on nie mogły wybrać własnej śmierci? Skazany został na mogiłę, stracenie tak wielkie, że aż rozjuszył się na myśl, że nie jest mu dane umrzeć dumnie — w bitwie jakiej lub w przygodzie.

Matka rozpaczała po nim tydzień, jakby zmarł wraz z diagnozą. Rodzice nie są bowiem od chowania dzieci, to wszystko na opak! Wieś objęła żałoba, wszak taki gospodarz miał umierać, przecie to jaka kara boska musiała być!

Usiadła z nim jednego wieczora z osmakraną chustką w dłoni, spojrzała po nim zmarnowana, zmordowana wręcz i zaczęła:

– Co z polami? Ze mnie żadna gospodyni, bez ciebie tu wszystko zemrze. Musisz się, synuś, ożenić. Kobieta urodzi ci dzieci, odchowa je na porządne i one będą tu robić – wydukała z zatkanym nosem, a Jabłkowy westchnął głośno i przeciągle.

– Kiedy ja nie chcę byle jakiej, byleby ino była i już.

– A Hanka Grabówna? A Jagustynka? Albo Agatka czy ta Madzia... – wymieniała wycieńczona. – One wszystkie porządne kobiety są, dobrze ci z nimi będzie.

– Żadnej z nich nie chcę.

– Nie masz czasu na wybrzydanie! – Machnęła ze świstem rękami.

– To pomrę i bezdzietny! Byle jakiej nie będę brał!

Ruszył rozjuszony i żwawy ku sieni, a zaraz trzasnął drzwiami chaty, aż dało się usłyszeć trzask łamanego drewna. Pędził ku swym jabłoniom — jego dziedzictwu, jego świadectwu i najprawdziwszej w świecie miłości. Ku lubej takiej, co by za nią umarł. Robił w sadach od kiedy stanął na nogi, własnymi rękoma sadił te drzewa i własnymi rękoma zbierał ich plony. Pierwszej lepszej nie odda, oj, nie miałby serca.

Zza płotu usłyszał kroki, łamanie patyków pod stopami, a gdy zwrócił się ku hałasowi, ujrzał Józefinkę. Uklęknęła i grzebała dłońmi w ziemi jakby jej się tam jaka rzecz zapodziała.

Znał ją, widywał raz po raz, jak błąkała się po wiosce i słyszał o niej wiele — głównie, że wariatka, że dziwaczka, ale Jabłkowy sam nigdy nie widział, by wydziwiała albo wyprawiała wariactwa. Tylko sobie spacerowała, tylko spacerowała... Wiedział, że była z niej niemowa i odrzutek, ale czy skrzywdziła tym kogo? Z innych kobiet na wiosce były łachudry i same łachudry, właśnie temu ich nie chciał. O niej zaś nie plotkowano jakoby spała z byle kim, jakoby nie szanowała drugiego albo kradła — ino była dziwaczna i więcej o niej wioska powiedzieć nie mogła, bo i jej nie znała.

Obserwował ją tak chowając się za drzewem krótką chwilę, a ona wciąż grzebała w ziemi. W końcu wyjęła z niej dżdżownicę, położyła ją na otwartej dłoni i patrzyła, jak się wiję. Nie tykała jej, nie tarmosiła. Tylko spoglądała po niej nudno.

Jabłkowy nagle wyszedł zza jabłunki, stanął na poziomej belce płotu i wychylił się do dziewczyny.

– Co tam masz? – zawołał, ale nijak nie potrafił wyjaśnić, czemu zachciało mu się z nią gawędzić.

Józefinka popatrzyła za głosem, wolno obkręciła ku niemu głowę i wystawiła dłoń z robalem w stronę mężczyzny. Nic nie powiedziała. Kilka sekund pokazywała mu dżdżownicę i wróciła do wcześniejszego gapienia się na nią, siedząc w kucki.

Zainteresował się dziewczyną, ale było to zainteresowanie niewytłumaczalne, by ująć je w słowa. Może lubił tę jej cichość, może ciekawiło go, dlaczego wioska tak na nią gada. Zebrał się w sobie i przeskoczył przez płot, upadając na kolana. Nie podszedł do niej blisko, a na tyle, by zmrużywszy oczy, mógł dostrzec jej dłoń.

– Dżdżownice zbierasz? Łowić będziesz? – zapytał wesoło, a Józefinka pokręciła głową i milczała. – Tak po prostu sobie patrzysz? Ja tam robali nie lubię, bo psują mi jabłka – zaśmiał się i czekał, aż odpowie, ale tego nie zrobiła. – Może chcesz jabłko? Chudzinka taka jesteś, mięso powinnaś jeść, to nabrałabyś siły.

Pokiwała głową, odkładając dżdżownicę na ziemię. Wraz Jabłkowy zerwał się do sadu i przyniósł jej trzy największe i najsoczystsze jabłka, jakie tylko udało mu się znaleźć. Nakarmił ją i pogadał z nią żdziebko, choć ona tylko kręciła głową albo wzruszała ramionami, zajadając się owocami.

Przyszło im się przyjaźnić — tak po cichu. Ona słuchała, on zaś mówił. Raz po raz odpowiadała jednym słowem lub pół zdaniem, ale aż spamiętał każdą z jej odpowiedzi, tak rzadko mówiła. Przynosiła mu pod płot robale, kamyki, ciekawe liście — różności tak każdego dnia nieprzewidywalne, że Jabłkowy śmiał się nieraz w głos, jak to widział.

Myślał o niej jak o dziewczeczce niemalże ze snu i zastanawiał się, jaka z niej dziwaczka, jaka wariatka? Jedyne małomówna i wycofana, a taka piękna, taka mądra i zabawna, że tracił do niej głowę.

Staął pewnego dnia przed matką, wypiął dumnie i pewnie pierś i odrzekł:

– Już wiem, którą chcę za żonę.

Matka aż pobladła z zaskoczenia i złęknięcia. Nadstawiła uszu ciekawa, a on kontynuował:

– Józefinkę. Józefinkę Kowalównę chcę.

Wytrzeszczyła oczy na jego słowa i niemal upuściła trzymane w dłoni pranie.

– Tę wariatkę?! Dzikuskę?! Dzikuskę za żonę chcesz?! – wrzasnęła mocno.

– Żadna dzikuska z niej, a kobieta piękna i bystra!

– A myślisz, że wieś sobie zmyśla o niej?!

– Tak właśnie myślę! Plotą, byleby ino pleść! – Rozjuszył się wielce. – Najwięcej to dziewczuchy o niej gadają, bo to zazdrosne suki są! Wiedzą, że Józefinka urodna, to ją upokarzają!

Matka poczęła łkać, ale nie ze smutku, a ze złości. Jak to tak miała mieć w rodzinie wariatkę? A co wieś powie? Co najbliżsi powiedzą? Wyśmiej ją, ot co! Paplać będą miesiącami! Jabłkowy już się nie odezwał. Matka złożyła dłonie do modlitwy i odmawiała *Ojcze Nasz* z nadzieją na zmianę decyzji syna.

Jabłkowy postawił na swoim.

Niedługo później po wiosce rozeszła się wieść jakoby miał on w planach ślać do Józefinki z wódką.

Wiera, matka dziewczyny, na tę wieść jęła krzyczeć z radości. Uszom własnym nie wierzyła, że taki mężczyzna, taki gospodarz pragnął jej córki. Tarmosiła Józefinkę, ujmowała ją w ramiona, ścisłała i skakała po chacie. Grzegorz ino odetchnął z ulgą, że wyprowadzi się ona raz a porządnie, że już nie będzie musiał jej oglądać. Pytał jedynie sam

siebie, czyżby Jabłkowy z tej choroby nie oszalał, że taką niemotę chciał za żonę. Przecie to wstyd i hańba!

Matka kazała córce usiąść na skraju łóżka, a sama krążyła po izbie w koło i mówiła:

– Józia, ty pójdziesz za Jabłkowego! Ty, właśnie ty! Ja z nim pomówię o zapisie, tak, o zapisie... – zamyśliła się. – On i tak schorowany jest, to i nie pożyje długo. Po jego śmierci ja ci pomogę gospodarzyć, bo głupiaś, tylko urodź mu syna albo i dwóch. Boże przenajdroższy, tyle morgów, tyle pól! Ino z matki jego jest suka, ale ja to już sobie z nią pomówię.

Łaziła nieustannie w tę i z powrotem, przestraszona nieco, że córka będzie się sprzeciwiać, ale ta milczała ze wzrokiem wgapionym w podłogę. Sama tego nie rozumiała. Żyła dotąd przekonana, że skończy stara i bezdzietna — jak ta sierota bez rodziny, gdy matka i ojciec pomrą.

A czy Józefinka chciała Jabłkowego za męża? Ach, nie, nie chciała. Nie myślała o nim jak o kochanku. Dziwnie się z tym czuła, jakoby jej się co zaległo w brzuchu — była pewna, że zwymiotuje. Miała iść za męża? Józefinka za męża? Toż to musi być pomyłka. Dzieci miała urodzić? A jak ona je wychowa, jak sama chowana była na kijach i pasach?

Od życia pragnęła jednego — śmierci.

– Widzisz, Józia, takie czasy nas zastały, kiej zamiast uganiać się za chłopami, trza za polem patrzeć. Ty się już o nic nie martw, zostaniesz sobie panią Jabłkową, przeczekasz parę років i jeszcze jeden po jego śmierci, coby nie gadali, wtedy znajdziesz se chłopą jakiego byś chciała z serca. Ale teraz trza patrzeć za polem, tak, za polem... – rozmarzyła się matka.

Wiedziała bowiem, że Józefinka się do małżeństwa nie nadaje. Wiedziała też, że go nie chce, bo i znała własne dziecko. Nie pytała jej jednak o zdanie — nikt nigdy nie pytał.

Dziewczyna nie zasnęła tej nocy. Nie miała nic do gadania i zdawała sobie z tego sprawę. Mimo wszystko gdzieś o północy przyszło jej płakać i chować się pod pościel niby przestraszona łania.

Następnego dnia Jabłkowy posłał do Józefinki z wódką swojego najlepszego przyjaciela. Gadano w chacie, a gadano, a ona jakby tłem, tapetą, milczała ino i ścisnęła rąbek granatowej spódnicy. Towar z niej zrobiono i targowano się nią jak na jarmarku. *Dasz pan więcej, wtedy Józefinka będzie twoją!* — tak wyobrażała sobie gadaninę matki, choć żadne takie słowa nie padły. Rozmawiali o zapisie, polach, sadzie... A ona biedna słuchała tego, choć jakby przez zatkane uszy — tak co drugie słowo do niej docierało i tylko raz po raz Wiera trącała ją łokciem, coby się opamiętała.

Dobito targu. Wyznaczono datę ślubu.

Jesień była łagodna, jakby wstydliva. Liście poczerwieniały niby wino — krew Chrystusa, jak to mówili — gleba stała się wilgotna i nadeszły wiatry. Wioska nieco zmarkotniała.

Wiera od świtu ganiała po izbie szykując rzeczy potrzebne do ceremonii. A to suknie z szafy wystawiła, a to przypilnowała, by Grzegorz był schludny, a to upewniła się w posagu. Wyciągnęła Józefinkę z łóżka, posadziła ją przed lustrem i szykowała wraz z lokalnymi babkami. Kręcił się wokół niej tuzin rąk, a ona cichutka, przestraszona, posmutniała. Gapiała się we własne odbicie i byłaby ryczała, gdyby ino cokolwiek potrafiło wyjść jej spod powiek. Wszystko, co miała, już przeplakała. Pozostało jej wcisnąć się w sukienkę.

Jabłkowy przywitał ją pocałunkiem w dłoń i miłymi słowami. Mówił i mówił, ale ona nie słuchała. Skubała skórę wokół paznokci, aż dotarła do mięsa. Wiera krzątała się uchachana, dopinając wszystko na ostatni guzik, aż w izbie zjawiała się matka Jabłkowego. Para uklęknęła przed rodzicami i poprosiła o błogosławieństwo. Później przyszło im modlić się dłuższy moment i wyruszyli do kościoła.

Jałowość Józefinki ukazała się na niej jak ten tusz na pergaminie. Wielu gadało, co z niej za niewdzięcznica, że w dzień własnego ślubu nie potrafi się chociażby uśmiechnąć. Kroczyła po kościele z półotwartymi oczyma, drżącymi i przemarzniętymi rękoma i z bólem brzucha.

Nadeszła przysięga. Józefinka została panią Jabłkową.

Niewiele z tego pamiętała jakby ślub nie miał nigdy miejsca. Sen. Sen na jawie.

Odprawiono mszę i zaprowadzono parę młodą do karczmy. Naraz ogłoszono oczepiny i wianek dziewczyny zastąpiono czepcem.

Bawili się wieśniacy — biesiadowały babki, biesiadowały parobki, kobiety, mężczyźni, wdowy, wdowcy. Po stołach połała wódka i przyniesiono jadła. Grajki poczęły grać, Józefinka zaginęła w ludziach, utonęła między ich spoconymi, rozgrzаныmi jak piec ciałami. Przerzucano ją z rąk do rąk w ramach tańca. Nie trudziła się nawet o złapanie równowagi, bo i wiedziała, że ją kto złapie. Podłoga dudniła od skoków i tupania chłopów. Napiała się wódki. Zjadła chleba. Znów się napiała.

Przez gorąc czuła się jakby wypila sama całą flaszkę. Gadano do niej, śmiano się i żartowano, a ona głucha. Głucha i niema. Następnego dnia również biesiadowano.

Jedynie pierwsza noc w nowej chacie odbiła się na niej bezsennością, coraz to kolejne wieczory zlały się w jeden. Nie gonila do męża i jak wcześniej ledwie się do niego

odzywała, tak wciąż prawie nie rozmawiali. Józefinka całe dni spędzała na spacerowaniu po sadzie czy okolicznych polach. Uciekała od małżeństwa — młoda była i złąkniona.

Jabłkowy podszedł do niej tydzień po ślubie, złapał ją w rogu izby, coby nie uciekała i spojrzał na nią przykro.

– Jeżeli nie chcesz być całowana, nie będziesz. Jeżeli nie chcesz być przytulana, nie będziesz. Ja nie będę robił wbrew twojej woli – odezwał się cicho. – Tylko, proszę ja ciebie, urodź mi dziecko.

Pokiwała głową. Mąż nie wymusił na niej kochania. Cekał pokornie, czekał zakochany w wariatce, co nie kochała nikogo i niczego. Pragnęła samej śmierci.

Była to dla niej wielka dziwa — nikt przecie nigdy nie pomyślał, by się zdaniem Józefinki przejmować. Trawiła w sobie jego słowa i trawiła, spoglądała na niego spode łba podczas obiadu, podglądała, jak oporządzał bydło, robił w sadzie i na polu. Miło jej było — miło na sercu jakby miodem ją kto polał, że nie wyszła za tyrana.

Myślała nad dzieciątkiem wiele. Dniami nawet wyczekiwała momentu, w którym będzie sama w chacie, zwijała pościel w rulon i udawała, że trzyma zawiniętego syna. Lulala go, nuciła mu i głaskała. Nazwała go nawet i zwracała się po imieniu jak do żywego i istniejącego. Przyszło jej również wypychać pierzyną spódnice jakoby miała brzuch ciążowy i dotykała się po nim, szukała na łóżku pozycji do spania, wygodnego sposobu zakładania butów. Dłonią sunęła po brzuchu i piersiach, myślała o synu i przed Bogiem najwyższym przysięgała, że go nie zbije nigdy i w żadnym przypadku. Robiła tak w kółko, nieustannie, z uporem maniaka, aż wybiegła z chaty, pognąła do robiącego w polu męża i zdyszana wyznała:

– Jestem gotowa urodzić ci dziecko.

A więc się państwo Jabłkowi starali o dzieciątko. Józefinka zauważyła jeszcze całkowitym przypadkiem, że odkąd została żoną, wieśnicy nabrali do niej szacunku. Wciąż niektóre chłopki gadały na nią w głos, wciąż parobki patrzyły na nią jak na wariatkę, ale większość miejscowych zaczęło się z nią witać i darować kawałki chleba czy upolowanej zwierzyny. Odkąd stała się jabłkowa, nabrała wartości, przyzwoitości, kieby narodziła się na nowo.

Nadeszła zima, równie łagodna, co jesień. Pierwsze wały śniegu legły na dachach i trawach, zmierzch nadchodził pędem i nieustannie ogarniał wieś w ciemnościach. Nie targało wiatrem przynajmniej, nie padało gradem.

Niedługo po Wigilii Józefinka zauważyła u siebie brak tych krwawych dni, brak tego apetytu na jedzenie wcześniej uwielbiane, ból piersi, a zachowania dziwne, na ten przykład

chęć wachania czy to słomy czy siana. Wraz pomyślała o dzieciątku i popędziła do matki, co zawołała akuszerki. Kobiety wypytywały ją o przeróżności, a małomównej Józefince aż się w głowie zakręciło od tych słów. Odpowiadała dla dobra dziecka, choć mogła przysiąc, że nigdy wcześniej tak się o niczym nie rozgadała. Została obejrzana i zbadana, a akuszerki jednoznacznie stwierdziły, że ma być ona gotowa na dzieciątko.

Ucieszyła, ale i złąka się tej myśli. Czy to syn, czy córka, coś lub ktoś siedział jej w brzuchu, leżał się, karmił tym, co ona, czuł to, co ona. Dniami miała wrażenie, że dziecko się rusza, ale kobiety uspokajały ją, że na ruchy za wcześnie, że to wyobrażenia. Pomieszało jej się z lekka w głowie i miewała trudności z niedotykiem brzucha, ale wstrzymywała się, ilekroć wychodziła z chaty.

Przed wioską trzymała ciążę w tajemnicy, ale mężowi wygadała się niemalże od razu po diagnozie akuszerki. Jabłkowy tak się ucieszył, tak mu radość strzeliła do głowy, że pojął żonę w dłonie i obkręcał się z nią dookoła izby. Wtedy Józefinka zaśmiała się po ten pierwszy raz, choć śmiech był to nikły, niby uśmiech z dozą stłumionego pisku. Opamiętała się nagle i ucichła, a mężczyźnie spod powiek uleciały łzy.

Co dzień brała w dłoń wstążkę i mierzyła brzuch, sprawdzała, czy rośnie. Mimo że nie pozwalała się mężowi na co dzień całować, sama proponowała mu gładzenie czy mówienie do brzucha. Ta myśl o dzieciątku przyprawiała ją o marzenia.

Proszę Józefinki źle nie zrozumieć! Ona wciąż kochała śmierć, wciąż milczała, doszukiwała się w glebie dżdżownic i gapiała się na nie jak na dziwaczkę przystało. Chadzała markotna i zamyślona, odcięta od świata jakby ciężko chorowała na głowę. Nie znalazła w sobie pasji czy zajęcia, była jałowa, była Józefinką, co oszałała. Wyczekiwała jednak porodu jak dnia świętego. Najbliżej zauważyli zmianę, lekkie zboczenie co do poprzedniego stylu życia, ale dla wioski wciąż była jabłkową dzikuską.

Do wiosny jej brzuch zdążył napęcznieć. Nikomu — prócz męża i akuszerki — nie pozwalała go tknąć. Chowała się z nim jak ta wygłodzona sierota z kromką czerstwego chleba. Trzymała dzieciątko na własność, mówiła do niego, ale tylko w samotności. Jadła wybiórczo, same najzdrowsze i najpewniejsze w świeżości dania, wiele się ruszała, bo i wiedziała, że to zdrowe. Dbała, by dużo i porządnie sypiać, a zarazem się nie lenić. Wszystko dla syna — już wtedy była bowiem przekonana, że to chłopiec. Czuła to, bo i nosiła go pod sercem, to i wiedziała, kim jest.

Rodzić przyszło jej w strachu. Dopadł ją ból tak okropny, tak miazdzący, że jęła zagryzać pościel, niemal nie łamiąc sobie zębów i szczęki. W izbie nazbierały się matki, babki i akuszerki, w kącie usłano słomę i koce, przygotowano wcześniej wykąpany w

alkoholu nożyk do pępownicy, postawiono ławę, naparzano rumianku. Co rusz ktoś się krzątał z kąta w kąt, ktoś donośnie krzyczał, pytał się Józefinki i gładził ją po głowie. Spociła się cała i osłabła z bólu i gorąca bijącego z rozpalonego pieca. Wszyscy wołali, że dziecku i matce potrzeba ciepła, a więc się nie kłóciła, a starała przeć.

Po chacie słyszano czy to modły, czy to krzyki i w takim hałasie, w takim jazgocie i rabaniu Józefinka urodziła chłopca — Jakuba.

Wyciągała za nim dłonie, błdziła drżącymi rączkami za synem, szukała go jak ślepotą jaka i wołała go cichutko. *Dajcie mi go, dajcie* mówiła zachrypniętym głosem. Wiera była tam dla niej, uspokajała ją i tłumaczyła, że wpięrow Kubę obejrzą akuszerki.

Dostała synka zawiniętego w koc, otuliła go wątlými i szczupłými ramionami, przycisnęła do serca i nasłuchiwała, jak płakał. Taki był piękny, taki bezbronny i nos miał zadarty jak u ojca, a oczy zielone jak u matki. Beczał głośno i wierzgał się z lekka. Po izbie poniosły się modlitwy, ale i radość, że chłopiec zdrowy i że Józefinka zdrowa.

Jabłkowemu nie wolno było przebywać wtenczas w chacie, a więc klęczał cały złękniiony pośród jabłoni i modlił się, błagał Pana o łaskę, o te życie. Kochał żonę prawdziwie, kochał ją aż skory był wyprzeć się w jej imię każdego morga, każdego pola, a nawet matki swojej. Miłość jego nie malała nawet, gdy Józefinka nie dawała mu się całować, tulić ani dotykać gdzie indziej niż po brzuchu w trakcie ciąży. Wyjątki robiła ino, gdy starali się o dzieciątko. Ona taka nietykalna, boża wręcz, cnotliwa i zakazana. Kochanie Józefinki nie było łatwe. Kochanie Józefinki wywodziło się z chęci ukazania jej, że jest ten ktoś na świecie, kto potrafi ją kochać — nie z chęci bycia równie kochanym.

Gdy pozwolono mu wrócić do chaty, utulił wpięrow zmordowaną żonę, później Kubę. Była tak przemęczona i niby bez duszy, że w amoku oddała uścisk. Ucałował ją w czoło szczęśliwy, uklęknął obok pryczy i gapił się rozkochany na rodzinę. Wychodził jedynie raz po raz na sień, ażeby się wykaszleć, bo ni stąd ni zowąd nachodziły go napady kaszlu. Niekiedy na dłoni pozostawała mu krew, ale wnet wycierał rękę o środek koszuli i mamił całą chatę, że ma się dobrze.

Kuba chował się uwielbiany. Józefinka nie odstępowała syna na krok. Nieustannie nosiła go w ramionach, tuliła, wielce niechętnie oddawała go w ręce matce czy teściowej, a sąsiadkom czy kuzynostwie ani pozwalała go tknąć. Ufała jedynie mężowi, choć chadzała za nim wszędzie, jeżeli akurat on trzymał Kubusia.

Pokazywała mu pola, jabłonie, dżdżownice, ptaszki, lasy, bydło, strumyki, uprawy. Dniami pakowała dla niego jedzenie i cieplejsze ubrania i wymykała się, coby się poszwendać po wiosce z nim w ramionach. Sadzała go w stogu siana, stając nieopodal i

oglądała z nim zachody i wschody, uczyła pleść wianki, nim wypowiedział pierwsze słowo, ukazywała sady, nim stanął na nogi. Stała w strużce słońca targana wiatrem i myślami, wielką matczyną miłością. Umarłaby za Kubę, dałaby się za niego pochłastać i choćby mieli jej odrębać kończyny, nie oddałaby go.

Dniami Jabłkowy znajdował ich wśród pól, jak się cieszyli do siebie i odpoczywali wśród potraktowanej żniwem pszenicy. Józefinka dała mężowi syna w ręce i spojrzała po nim z uśmiechem lekkim, ale u niej niespotykanym. Zmrużyli oczy przez zachodzące słońce i patrzyli ku zachodowi.

– Musisz do niego gadać. Inaczej nigdy nie przyjdzie mu mówić – odezwał się Jabłkowy, gładząc syna po głowie.

– Nie umiem gadać. Mówię ino, gdy muszę mówić. – Wzruszyła nikłymi ramionami.

– Ano, nie oczekuję przecie, że stanie się z ciebie pleciucha. Nauczymy cię gadać – zaczął, odwracając się do żony – ale zanim zaczniesz mówić, musisz nauczyć się słuchać.

Późną jesienią ojciec Józefinki zmarł. Padł ponoć podczas robienia w polu i już więcej się nie podniósł. Zdechł żałośnie jak to bydło. Pogrzeb był głośny, mocno oplakiwany, żmudny, przykry, aż się serce krajało tym, co go znali z samego widzenia. Trzymała już wtedy trzymiesięcznego syna w ciężkim uścisku, stała ramię w ramię z mężem i słuchała głoszonych przez księdza egzekw. Wpatrywała się w zamkniętą trumnę zagnieżdżoną w dole i gdyby próbował kto doszukać się w niej jakiego żalu, nie znalazłby. Józefinka pamiętała bowiem to lanie do nieprzytomności, te pasy, kije, bele, twarde dłonie. Nie żałowała Grzegorza, oj, nie żałowała. Nie uleciała z niej ani łza.

Wiera popłakiwała z cicha i tarła buzię chustką, garbiła się i trzęsła. Ilekroć patrzyła na córkę, nachodziło ją takie rozwścieczenie, że ręka ją świerzbiła, ażeby Józefinkę wepchnąć do dołu. Jak to tak mogła za ojcem nie płakać? Ten chleb od kogo miała?! Ten dach nad głową od kogo miała?! Jasne, że od ojca! A stoi i gapi się jakby była na pogrzebie obcego!

Gdy się zebrani zbierali na stypę, szarpnęła Józefinkę za bluzkę, odwróciła ku sobie stanowczo, niemal agresywnie, i wyznała rozjuszona:

– A ty co? Nie tęskno ci po starym, co? Głupiaś, wstydu narobiłaś! Żeby za ojcem własnym nie płakać... – nie dokończyła, bo ogarnął ją szloch.

Jabłkowy dosłyszał słowa Wierę z oddali i wkroczył między kobiety. Objął żonę z synem na rękach ramieniem, jakby chciał ją bronić przed całym światem.

– Co ona ma po nim beczeć, jak on ją lał tylko? Tu nie ma po kim płakać – wygarnął głośno.

Matka nie odpowiedziała, a stanęła wryta i beczała. Józefinka wraz z Jabłkowym i Jakubem nie zjawili się na stypie. Wieś poczęła na nich gadać — jak to miała w zwyczaju — że to wina Józefinki. Oczywistym było, że sprowadzi męża na złą drogę, ot co! Tak to jest, gdy się z pomyłką żeni! Samemu się wariuje!

Zimą choroba Pana Jabłkowego odejmowała mu dni z życia. Miewał agresywne napady kaszlu z krwią, co noc się pocił, a gorączkę łapał co rusz. Męczyły go suchoty, z każdym dniem oddechu miał mniej a mniej. Wpierw próbował to kryć, zmyślał, że to od fajek coś ciąży mu na płucach, ale Józefinka nie była głupią kobietą. Wprawdzie to ona na jakiś czas przepomniała, że wyszła za niego tylko temu, by mu dzieci narodzić przed śmiercią — wraz jej to przypomniano. Opiekowała się mężem; gotowała mu mleka z miodem, parzyła lipę i szalwię, a cały dom zaczął jeść tłuste potrawy. Wiejskie babki radziły, by przestała się kręcić wokół męża z dzieckiem, coby siebie i syna nie zarazić, ale nie potrafiła się z nim rozstać. Polubiła go gdzieś między narodzinami Jakuba, gdzieś wśród pól, krótkich gadań i pogrzebu ojca. Przyszło jej się o niego martwić, a to heca! Żeby się Józefinka o kogo martwiła! — jej nie było do wesołości.

Pod sam koniec zimy — gdy skończyła dwudziesty rok życia — zaszła w drugą ciążę. Jakub wtenczas nauczył się raczkować. Rósł duży i silny, pełen ciekawości — odwiedzał każdy kąt, każdy zakamarek i wszystko to, co było w jego zasięgu, wpychał do buzi. Pełzał, aż ciężko było za nim gonić.

Druga ciąża przyprawiła Józefinkę o chorobę. Zwykła każdego ranka wymiotować, objąć się o ściany wskutek osłabienia i nie potrafiła przełknąć nawet kawałka ziemniaka z solą. Chorował więc on i chorowała ona — chorowali obydwoje i przychodziły nawet takie wieczory, w których Józefinka kładła się obok mężczyzny i wspólnie zasypiali. Nie tuliła go, nie dotykała, ino leżała ciało przy ciele, dusza przy duszy.

W jabłkowym domu inaczej niż w rodzinnym. Tu nikt jej nie lał, nikt na nią nie kłął i nie rozstawiał po kątach. Była sobie gospodynią, była panią Jabłkową, co raz po raz potrafiła się uśmiechnąć i wypowiedzieć dłuższe zdanie. Patrzyła po schorowanym mężu i cieszyła się, że przyszło jej za niego wyjść.

Wiosna rozweseliła wioskę. Jakub zaczął chodzić, ciążowy brzuch napęczał, choroba Jabłkowego z lekka odpuściła, choć wciąż potrafiła położyć go do łóżka na długie dni. Pola wróciły do życia, uprawy silnie pięły się ku słońcu, drzwi chaty stały otwarte i nawet bydło wydawało się szczęśliwsze. Gdy Jabłkowy robił w polu, Józefinka siedziała nieopodal niego i patrzyła za biegającym Jakubem, głaszcząc się po rosnącym brzuchu. Była

z nich prawdziwa rodzina, taka z tej krwi i tych kości, a ich świadectwo, ich krew gnała między pszenicą uchachana.

Dniami zaprzęgali konie, dwie dostojne kobyłki, i jechali do miasta na jarmark. Kręcili się po straganach, przepychali między zgiełkiem ludzi, doglądali a to jadła, a to chust czy ubrań jakich — wszystko to, co się Józefince spodobało, Jabłkowy kupował. Miał papierki, miał ruble, to i na nią dawał. Zapragnęła koraliki, dostała je, zapragnęła spódnicy, dostała ją, a ino spojrzała się w kierunku czerwonych chust, Jabłkowy już sięgał w głąb kieszeni i chciał kłaść sprzedawcy na stół.

Uważał Józefinkę za tak piękną, tak bystrą, że lękał się, że mu ją kto ukradnie. Ona przecie dzika, ulotna jak ten wiatr. Ufał jej, dobry Boże, ufał jak nikomu innemu, on się o te parobki bał, co łase na jego żonę. Gdy trafili między tłumy takie, że igłę nijak między tych wszystkich ludzi wsadzić, złapała go za dłoń, ażeby się gdzie nie zapodziać. Lgnęła do niego — powoli a powoli — ale lgnęła. Odnalazła w nim rodzinę.

Jesienią na świat przyszło drugie dziecko państwa Jabłkowych — chłopczyk, co mu Józefinka dała Antoni. Z niego był cały ojciec; nos zadarty, oczy jak noc czarne, usta cienkie i wysokie czoło. Urodził się malutki i słaby, znacznie drobniejszy od Jakuba. Nie zapłakał od razu po porodzie, a dusił się, aż go akuszerki klępem doprowadziły do ryku. Mówiły, by się Józefinka nie cieszyła, że Antoni to dziecko wręcz chwilowe, że przyjdzie mu umrzeć w ciągu tygodnia.

Serce jej wraz pękło jakoby strzał z karabinu. Popadła w ryk, ryk że hej! Tuliła synka do piersi, pletła do niego głupstwa, modliła się, aż słowa wszystkie pomyliła i beczała nad jego ciałem. Dychał, choć słabo. Okoliczne chłopki grzały go jak tylko potrafiły, odmawiając pacierze. Cała chata zebrała się do modlitw i wspólnie zwracali się do Boga o życie dla chłopca. Być może był to jaki cud, miłość boska albo i sama siła Antoniego czy matczyna miłość — Antoni przeżył.

Chorował jednak często, co rusz płakał, był chudziutki i mało jadł. Józefinka całe życie mu poświęciła, wszystkie jej minuty, dni i noce, lulała go godzinami, modliła się nad nim, przyrządzała mu smarowidła i radziła się każdej babki, której przyszło urodzić podobne dziecko. Większość takich schorowanych dzieciątek nie dożywała czasów nastoletnich, bo i była mniej odporna na choroby. Teściowa raz po raz gadała — jako że nie lubiła Józefinki — że nawet do rodzenia się nie nadaje, że niemota z niej, ale Jabłkowy wraz ją przeganiał.

Sam chorował, był już słaby, robił w polu coraz mniej — tracił bowiem oddech, a krwi wykaształ tyle, że buzię miał błądą jak ten pergamin. Łapał gorączki, duszności, kaszlem budził po nocach rodzinę. Bywały dni, w których, położywszy dzieci do spania,

Józefinka kładła się obok niego na posłaniu, układała dłoń na jego klatce piersiowej i patrzyła, jak oddychał.

– Pięć lat doktor mówił, pięć... – odezwał się Jabłkowy pewnego wieczora, gdy tak leżeli niemalże utuleni. – Dwa minęły, a ja już padam. Taki gospodarz na zmarnowanie – zaśmiał się, aż dopadł go napad krwawego kaszlu. Podniósł się i pluł, chrząkał, a płuca jego brzmiały jakby mu się tam zaległy ciernie. – Zapis masz, pola masz i sad mój, i parobków masz, to dobrze ci będzie. Tylko matkę moją goń, żeby ci jakiej przykrości nie sprawiała – wydukał przez chrypę.

Józefinka nie odpowiedziała. Milczała ino, tępo wpatrzona w męża. Co jej po tych polach, tych morgach i dobrach, jak wciąż nie dobyła słów? Co jej po tym wszystkim, jak będzie z niej wdowa? Ona żadnego prócz Jabłkowego nie chciała.

Zimą zaczęła prawdziwie lękać się o jego życie. Mało już robił i choć dusza jego rwała się do pracy, ciało miał słabe. Zabawiał dzieci, krzątał się po domu, karmił bydło — na więcej nie pozwalały mu płuca. Jakub miał półtora roku, Antoni zaś dwa miesiące. Jakub rósł silny i duży, Antoni drobny, choć przybrał ździebko na masie. Chata stała się ponura, zatrzaśnięta w trwodze. Po ścianach raz wraz ponosiły się czy to modły, czy to nucenie, czy to bajdurzenie Jakuba. Jedyny biegał wesoły, tykał się wszystkiego i świecił jakim promykiem wśród tego smutku, tego mroku.

Jabłkowy wiedział, że mogła mu bliską. Czuł nieraz, jak śmierć stąpa ku niemu, patrzy zza okna, wychyla się zza drzwi i gapi. Złościł się na nią, złościł przeokropnie, bo i chciał żyć, chciał dalej chować dzieci, być mężem i gospodarzem. Żegnał się z sadem i polami wielokrotnie. Dzień w dzień miał wrażenie, że nie dożyje świtu.

Józefinka już po nim tęskniła. Przeszło ponad dwa lata żyła w kochaniu, w dobru i małżeństwie, przecie to kara boska musiała być, żeby Bóg chciał jej teraz to wszystko wydrzeć! Toż to zbrodnia! Złodziejstwo! Dać i zabrać!

Myślała, jak powie o mężu dzieciom. Że odszedł, że zniknął? Że go aniołki do nieba porwały? A może powie, że Jabłkowy wcale nie istniał? Ach, sama chciałyby w to wierzyć!

Chodziła do niego do posłania co wieczór i tuliła. Zarazy się nie bała, jego umierającej twarzy się nie bała. To mąż jej przecie był, ojciec dzieci i wybawca, co ją z brutalnej chaty wyrwał — nie było czego się bać. Słyszeli dniami łkanie matki Jabłkowego zza ściany i pytania Jakuba, za czym tak beczy.

Z początkiem wiosny niebo również beczało. Lało jak z cebra aż ciężko było z chaty wyjść, bo wraz stopy zatapiały się w błocie. Wichura buczała za ścianami, deszcz walił po

oknach jak orkiestra, a psy skomlały ze strachu przed piorunami. Jakaś złość boska nastąpiła, a Jabłkowy uznał to za swój koniec.

– Dobrze mi z wami było, naprawdę dobrze – mówił do zaleknionej żony. – Dzieciaki porządne miałem i żonę piękną, pola szerokie. Szkoda mi tylko tego, że nie pozwoliłaś się bardziej kochać. Za złe ci tego nie mam. Tak tylko sobie gadam.

Wraz Józefinka z Antonim w ramionach wybiegła rozjuszona przed chatę. Dopadła ją ulewa, a syn ją ryczeć w niebogłosy, bo przemókł. Nie mogła znieść jego gadaniny. Paplał o sobie jak o zmarłym, a dychał jeszcze, choć ciężko i nieporadnie. Byłaby krzyczała, ale nie dobiła słów. Nigdy nie nauczyła się słuchać, nigdy nie nauczyła się mówić. Wygrzebywała ino coś spod języka, gdy musiała. Gromki hałas ulewy, pioruny, trzaski i raban doprowadziły ją do żalu, co niemal ją zabił.

Józefinka kochała bowiem Jabłkowego, miłowała go po ten grób. Nie chciała żadnego innego. Miała swą miłość — konającą. Zakochano ją i porzucono, a to wszystko ku uciechu Wiery i pól, których zapragnęła.

Nagle, jakby na pożegnanie, dosięgnęła jej trzecia ciąża. Nie była wielce zaskoczona. Starła się z mężem o jeszcze jedno dzieciątko, nim ten odejdzie. Był to środek wiosny, tej bujnej, gdy się świat budził do życia, a deszcze umilkły. Przyprawiała mięso, będąc sam na sam z mężczyzną w izbie, gdy odezwiała się:

– To dziewczynka.

– Tak czujesz? – zapytał ciekawym, wysokim głosem.

– Tak czuję. – Pokiwała z wolną głową. – Dam jej Hanka.

W czerwcu widziała, jak Jabłkowy układa się do śmierci.

Przestał mówić i słuchać jakby dusza z niego uleciała, a zostało same ledwo dyszące ciało. Leżał przykryty pierzyną, cały blady, upocony, wycieńczony łapaniem powietrza. Oczy miał podkrążone i puste, już nic nie widział. Nie ruszał ni to ustami, ni to kończynami, sama klatka piersiowa unosiła się powolutku jak na konającego przystało. Spojrzała wpierw przez okno, przyglądała się wsi, chatom, podwórzu, palącemu słońcu. Powitał ją tak piękny dzień i dogrywała ta wiejska muzyka — wszechobecna cisza.

Przeszła cicho niby na paluszkach pod posłanie męża i mówiła samej sobie, że wiedziała przecie, że tak to będzie. Zamknęła oczy, uklękła i odmówiła powoli *Ojcze Nasz*. Wstała, nachyliła się nad nim, pogładziła jego szorstkie jak ta słoma włosy i ucałowała w czoło. Była apatyczna, nie uszła z niej ani łza, ani nawet to westchnięcie.

Wzięła w ręce Antoniego, zawołała Jakuba z podwórka i zaprowadziła do Wiery, coby się nimi na chwilę zajęła. Nie wytłumaczyła się, ale matka wiedziała — zobaczyła to w

córcie. Już chciała się nad śmiercią Jabłkowego rozwodzić, gdy Józefinka powstrzymała ją gestem dłoni. Odeszła bez słowa. Tylko żałoba ciągnęła się za nią kieby smrodem.

Udała się na zapisane jej pola. Niska, zielona jeszcze pszenica łapała się słońca, wołała o wodę. Weszła między uprawy, stąpała po nich jakby należały do jej wroga — tak ich nie szanowała. Padła na kolana ciężko i z żalem. Wypatrywała na niebie Boga, ale dojrzała same ptaszyska i parę drobnych jak ten piasek chmur. Siedziała tak w cichości, milczeniu, co dla niej było niby woda dla ryby. W tym dojrzewała i na to wyrosła — na cichość.

Słyszała, jak ktoś pędzi do niej za jej plecami. Biegł, a dyszał i chrząkał. Odwróciła się do niego, gdy stanął za nią i normował oddech. Był to przyjaciel męża, ten sam, co go posłali do Józefinki z wódką. Gębę miał cierpką i dziwacznie wygiętą. Powitała go spokojnym spojrzeniem.

– Jabłkowy... Mąż twój – poprawił się rychło, dysząc ciężko. – On umiera.

– Wiem – odpowiedziała, a mężczyzna otworzył szeroko załzawione oczy.

– Nie pożegnasz się? Ostatnie dechy łapie, pewnie mu tęskno za tobą!

– On i tak już nic nie rozumie.

– Własnego męża nie chce pożegnać...

Splunął w jej stronę i wrócił tam, skąd przyszedł.

Józefinka zwróciła spojrzenie z powrotem ku płynącemu niebu i próbowała zobaczyć w nim Boga, ale zniknęły nawet te ptaszyska. Uderzył w nią silny, rozwścieczony wręcz wiatr, porwał w ruch jej spódnice i targał długimi włosami, wnet ogarnął ją krytyczny aż diaboliczny ryk i wrzeszczała do nieba, rwała gardło do Boga. Ryczała niby bydlę jakby ją kto rwał na strzępy albo skórował. Darła się i łapała za żdziebko wypukły brzuch, doszukując w nim córeczki. Wrzask niósł się rozpędzony po wiosce, niósł się długo i głęboko, wsiąkał w pola, jej zapisaną ziemię i powód, dla którego wydano ją za Jabłkowego. Beczała po nim a beczała! — biedna dziwaczka — bo to ona pragnęła przecie śmierci odkąd stanęła na nogi. Ona! A więc Bóg powinien mordować ją, nie jej ukochanego!

Józefinka dobyła głosu.

Wrzeszczała głośno, ponuro, z duszą na ręce lżejszą niż pióro.